



Krystyna Molak z d. Sankowska

Dziewczynka ze Śródmieścia

Początek sierpnia 1944 roku. Płonie nasz dom przy Al. Jerozolimskich 30. Trzeci dom za słynnym „Żywcem” w kierunku Brackiej. Lokatorzy przebijają ścianę w garażach i uciekamy na ul. Widok, gdzie w piwnicach żyjemy z dnia na dzień. Na podwórku, gdzie kiedyś rosły kwiaty, wykopuje się groby. Pogrzeby są codziennie.

Na początku września Mamusia decyduje się na przenosiny na ul. Chmielną, obok kina „Atlantik”. Dom jest w lepszym stanie, mniejszy ostrzał i można korzystać z mieszkań. Tu nie musimy cały czas żyć w piwnicach. Przez okno na drugim lub trzecim piętrze jest widok na wyższe piętra „drapacza chmur” na placu Napoleona. Młodsza siostra zaczyna chorować.

Tego dnia jadłam zupę stojąc z miseczką przy oknie, gdy nagle nadleciały samoloty bombardujące drapacza chmur. Był to widok tak przerażający, że nie mogłam oderwać oczu od bomb wbijających się ukośnie w budynek. Wyraźnie zauważalne było jak konstrukcja chwieje się w lewo i w prawo. Wystraszona zesłam na parter do Mamusi, babci i siostry, aby im to opowiedzieć. Mamusia oczywiście skrzyczała mnie bardzo, że tak się zachowałam. Powinnam siedzieć na dole, a nie chodzić po piętrach.

* * *

Nawet w tak tragicznych chwilach dzieci muszą się bawić. Pamiętam, że uciekałyśmy do kina „Atlantik” i tam biegałyśmy z chłopcami po widowni. Kończyło się to oczywiście przeganiem nas do matek przez dyżurujących na tym odcinku powstańców.

Pewnego dnia Mamusia zaczyna chorować na żołądek. Sprawa podobno poważna – ktoś z otoczenia doradza, że dobrze byłoby mieć czerwone wino. Jedna z kobiet mówi, że widziała jak ktoś niósł butelki z alkoholem z piwnic „Bachusa” z ulicy Widok 25 (restauracja i skład win). Powiedziałam babci, że poproszę powstańców, aby mi pozwolili poszukać czerwonego wina. Wskazano mi powstańca, który był dowódcą tego odcinka. Oczywiście polecił mnie dyżurującemu podwładnemu. Szłam z nim przekopem obok barykady na stronę „Bachusa”. Dom był niedawno spalony. Piwnice zostały, ale zaduch i smród po rozlanych alkoholach połączony z zapachem spalenizny dusił niewyobrażalnie. Część półek w piwnicach nie była jeszcze zawałona. Znajdujący się tam ludzie oświetlali wnętrza karbidówkami i świecami. Były to magazyny restauracyjne, a więc szukano żywności. Powstaniec, z którym przyszedłam powiedział

głośno o co chodzi tej „małej płaczącej” i oczywiście dostałam to upragnione wino, a do tego dużą butelkę syropu pomarańczowego. Potem kazano mi zmykać natychmiast tą samą drogą. Powrót to podróż na skrzydłach, choć musiałam schylać się przechodząc przez przebite mury piwnic i powykręcane rury.

Zdobyc oddałam babci, bo ona wiedziała co z tym należy zrobić. Łzy w jej oczach były dla mnie nagrodą. Gdy spojrzaliśmy na moje nogi okazało się, że pantofle są całe w czerwonej mazi, poprzecinane szkłem i gruzem. Tutaj przyszedł z pomocą pan Piasecki (właściciel sklepu w tym domu), który miał córkę w moim wieku i podarował mi nowe trzewiki sznurowane. Później wymaszerowałam w nich z babcią, Mamą i siostrą do obozu w Pruszkowie.

Syrop pomarańczowy na długo musiał wystarczyć do polewania kaszy jaglanej, którą babcia gotowała na podwórku na dwóch ceglach. Wodę przynosiło się ze studni na ul. Boduena, a do mycia można było używać wody pobieranej z głębinowej studni na terenie kina „Palladium” przy ul. Złotej.

Przez jakiś czas chodziłyśmy z siostrą Hanią na obiady dla dzieci na ul. Zgoda obok banku „Pod Orłami”. Przechodziłyśmy przebitymi podwórkami i piwnicami na ul. Złotą przy kinie „Palladium” i dalej biegiem wykopem obok barykady na ul. Zgoda, gdzie w mieszkaniu na parterze przy dużym stole zasiadały dzieci, aby zjeść pożywną zupę. Produkty były chyba od „Braci Pakulskich”. Smaku i zapachu tej zupy nie zapomnę do końca życia.

Droga powrotna ta sama, z młodszą siostrą za rękę i prędko do Mamusi i babci, które czekały w łęku.

Życie codzienne to nadśluchiwanie alarmów, uciekanie do piwnicy i opowiadania ludzi co gdzie się stało i co robić dalej. Mamusia bała się wychodzić wcześniej z Warszawy, czyli poddawać się i korzystać z zapewnień Niemców, że nic się ludności cywilnej nie stanie.

Tak doczekałyśmy końca powstania i 3 października wymaszerowałyśmy w krocącym w ciszy pochodzie Alejami Jerozolimskimi do Dworca Zachodniego, a potem wagonami towarowymi przewieziono nas do obozu przejściowego w Pruszkowie. W obozie tłumy wcześniej tam spędzonych warszawiaków, zaduch niesamowity, na peronach porozkładani ludzie wyczekujący na dalszy los.

Drugiego lub trzeciego dnia rozpoznała nas znajoma pielęgniarka, którą pracowała przy obozowym lekarzu. Prosiła, aby nie zmieniać miejsca i czekać na nią. Za godzinę przyniosła nam bułkę paryską i dwa jabłka. Był to dar o zapachu i wartości nie do opisanego. Mama trzymała ten skarb, a my stałyśmy bardzo zdziwione – dlaczego tego nie dostajemy? Teraz wkroczyła babcia i wytłumaczyła, że po takiej głodówce nie wolno nam jeść więcej jak tylko po kawałku bułki i bardzo mało jabłka, bo to nam zaszkodzi. Trudno było to zrozumieć, ale tak się stało.

Za jakiś czas znów przysła siostra Stefa i oznajmiła Mamusi, żeby następnego dnia rano była gotowa do wyjazdu z obozu jako ciężko chora – prosto do szpitala. Na drugi dzień przed południem pod opieką siostry Stefy doszłyśmy do bramy obozu, za którą czekała podwoda. Wtedy pielęgniarka podała strażnikowi przepustkę. Mamusię jako ciężko chorą ułożyła na wozie ze słomą, a my z babcią podreptałyśmy za wozem w kierunku Piastowa. Na miejscu czekała na nas rodzona siostra Ojca, którą powstanie zastało na wakacjach w Piastowie i to było nasze wielkie szczęście. Siostra Stefania była koleżanką cici i zatrzymała się u niej po opuszczeniu Warszawy, pracując przy obozowym lekarzu. Wielu osobom pomogła narażając się bardzo.

W Piastowie powitaniem i płaczom nie było końca. Nasz Ojciec wtedy już nie żył, ale rodzina jeszcze o tym nie wiedziała. W kwietniu 1940 roku został zamordowany w Ostaszku.

Przed nami najgorsza zima bez własnego domu. Czekanie na koniec wojny. Przez cztery miesiące zajmowałyśmy część kuchni, gdzie na noc rozkładano cztery sienniki wypełnione słomą. Co kilka dni przychodzili żandarmi szukając warszawiaków. Wtedy trzeba było się chować do piwnicy. Mamusi najbardziej groziło aresztowanie, więc ktoś poradził, aby zgłosiła się na ochotnika do robót porządkowych w Warszawie. Wtedy będzie miała pozwolenie na pobyt w Piastowie. Tak też się stało i do wyzwolenia jeździła na roboty. Szczęśliwie dostała przydział do wydawania obiadów dla wojska, które „porządkowało stolicę”. W ten sposób dokarmiła nas przywożąc codziennie coś do jedzenia. Tak doczekałyśmy stycznia i zakończenia wojny. Najtrudniejsze było jednak przed nami.

Koniec stycznia, pierwsza wyprawa na gruzy naszego domu. W bramie wisi lista lokatorów, która była już tylko kartą historii tego budynku. Na ścianach bramy wiadomości, gdzie należy szukać kogoś z bliskich oraz kogo już nie szukać. Wrażenie straszne. Mamusia weszła do piwnicy, która się jednak nie spaliła. Ja zostałam na zewnątrz, aby obserwować czy nic nam nie grozi. Nagle Mama wychodzi niosąc w garści trochę poniszczonych zdjęć, które zostały powyrywane z albumu. Jakie szczęście, że szabrownikom potrzebny był tylko album. W momencie opuszczania naszego mieszkania w Al. Jerozolimskich w sierpniu 1944 roku, mamusia zakopała trochę przedmiotów w piwnicy w walizkach i przysypała węglem. Tam szabrownicy nie dostali się i trochę drobiazgów ocalało. Do dzisiaj są to „relikwie” przechowywane z czułością, bo przypominają czasy naszego dzieciństwa i zapach domu rodzinnego. Jeszcze teraz miewam sny z tamtych lat. Widzę Ojca grającego na skrzypcach lub malującego akwarelkę przy swoim biurku. Budząc się długo nie otwieram powiek, żeby ten obraz jeszcze trwał...

Do dzisiaj spotykając się z siostrą przypominamy sobie mieszkanie naszego dzieciństwa i na wyścigi wymieniamy przedmioty i meble – gdzie co stało, gdzie wisiał jakiś obraz czy kinkiet. I są to piękne chwile, pozwalające zapomnieć o upływającym czasie.